

Wspinamy się na Grani Miękuszy. Tym razem we trzech, bo Kasia po dojściu do Bandziocha opuściła ze względu na ból kolana. Docieram do Drugiej Igły Milówki, i jeszcze wpięty do *reverso* szykuję się do dopięcia lonży do pętelek zjazdowych. Nie sięgam tam, więc obciążam blok zjazdowy, który nagle rusza, a ja razem z nim. Po drodze zahaczam o coś nogą i zatrzymuję się wyłapany przez linę. W dół z łomotem wali się stanowisko, z którego mieliśmy za chwilę zjeżdżać! Sprawdzam nogę, jest wykręcona nienaturalnie w bok, z zewnętrznej strony stawu skokowego wystaje kość, która jednak nie przebiła skóry. Wiszę w pionowej ścianie i z góry słyszę pełen niepokoju krzyk Adriana, który chce się dowiedzieć, w jakim jestem stanie. Stopa buja się bezwładnie i zaczyna do mnie docierać ból. Widzę, że nieco powyżej od polskiej strony znajduje się pochyła półka. Odpycham się rękoma i dociągam wyżej. Instruuując kursanta docieram do półki, proszę o blok i zaczynam dzwonić po TOPR. Nie mam zasięgu, ale na szczęście słyszę jak przez telefon rozmawia Tomek. Wykrzykuję w jego stronę szczegóły potrzebne do ustalenia miejsca akcji i mojego stanu. Chłopcy z góry informują mnie o tym, że lina ma uszkodzony oplot. Proszę o drugą żyłę i się do niej dowiązuję. Proszę znowu o linę, do której dopinam plecak, wydaję z niego tylko portfel z dokumentami. Pomimo moich przekleństw przepelnionych bólem, kursanci wykazali się opanowaniem, przede wszystkim nie spanikowali co mogłoby się przecież zdarzyć. Warto dodać, że dzień przed nami Grań Miękuszwieckich robili moi byli kursanci, których szkoliłem dwa lata wcześniej i oczywiście zjeżdżali oni z tego bloku. Co tak naprawdę się stało? Po dojściu do stanowiska nie zrobiłem sobie auta. Założyłem, że za chwilę i tak dopnę się lonżą do zjazdu. W związku z tym cały czas byłem dowiązany do liny i wpięty do *reverso* znajdującego się w stanowisku. Zazwyczaj w tym miejscu zakładałem (na ogół kursant) pętlę na bloku (który spadł), co pełniło rolę stanowiska. Gdybyśmy tak zrobili i tym razem, z blokiem poleciałby cały zespół – szacuję, że ważył od pół do jednej (bardziej prawdopodobne) tony. Od dwóch lat, po południowo wschodniej stronie Igły znajdują się dwa spity, które są pozostałością po akcji ratunkowej. Ważną informacją jest fakt, że z blokiem zjazdowym obchodziłem się jak z litą skałą. Nie zakładałem, żeby akurat był on niestabilny. W przeciwnym razie nie tylko nie obciążałbym tej skały, ale nie dopuściłbym, żebyśmy z tego miejsca zjeżdżali. A taki właśnie miałem zamiar. Czy było to zachowanie nieostrożne? Post factum mogę powiedzieć, że na pewno. Ale mając świadomość, że to jest „stały” blok zjazdowy, z którego zjeżdżało się „od wieków” potraktowałem go normalnie, czyli jak litą skałą. Po wizji lokalnej Marka Kujawińskiego i Piotra Sztaby, którzy niezależnie od siebie byli na grani już po moim wypadku przekazali mi oni, że blok zjazdowy, z którego spadłem musiał być wcześniej zdestabilizowany. Piotr uważa, że trafił w niego piorun, a ślady obrywu wskazują, że musiało nastąpić pęknięcie tego bloku.

Mam świadomość tego, że gdyby była nielotna pogoda to ja miałbym ogromne problemy, żeby przeżyć. Gdy ratownicy do mnie dotarli miałem już objawy wstrząsu pourazowego, było mi bardzo zimno i zacząłem dostawać drgawek. A wszystko to pomimo, wydawałoby się błahego urazu, zwichnięcia stawu skokowego. Faktem jednak było, że stopa zupełnie wypadła mi ze stawu i zwisała bezwładnie. W takich

sytuacjach najważniejsze jest fachowe i jak najszybsze nastawienie stawu, gdyż z każdą chwilą pogłębia się ryzyko martwicy. W szpitalu udało się to zrobić dopiero po pełnym znieczuleniu. Wracając do akcji, moi kursanci pozostawieni bez opieki, mieliby ogromny problem by samodzielnie i bezpiecznie mnie sprowadzić do doliny. Ewentualna ewakuacja w sposób tradycyjny była możliwa tylko w jeden sposób. Najpierw musielibyśmy zjechać na Miękusowiecką Przełęcz Wyżnią, stamtąd kruchym żlebem na słowacką stronę, aż do Drogi po Głazach, a następnie ścieżką do Hińczowych Stawów. O ile pierwszy zjazd jeszcze sobie wyobrażam, o tyle dalsza akcja, w kruchym i nie pionowym terenie byłaby niewykonalna przez dwóch kursantów. To byłaby ciężka robota dla wieloosobowego zespołu doświadczonych ratowników. Na szczęście dla mnie wszystko zadziało, mieliśmy za sobą kilka dni zajęć z autoratownictwa, kursanci byli pojętni, sytuacja awaryjna była w miarę prosta, był zasięg telefoniczny, a pogoda umożliwiała akcję z użyciem śmigłowca. Wystarczyłoby jednak, że któryś albo kilka z tych elementów by nie zadziało i byłoby źle. Nie tylko dla mnie.

Pokuszę się o kilka uwag natury ogólnej na temat pracy instruktora. W korespondencji mejlowej bardzo doświadczony instruktor PZA Marek Kujawiński po moim wypadku napisał mi takie słowa:

*To zdarzenie uzmysłowiło mi to po raz kolejny jak niebezpieczną i odpowiedzialną profesją się zajmujemy. Co gorsza, ja osobiście nie potrafię w sposób przekonywujący wykazać, że nasze i kursantów bezpieczeństwo zależą wyłącznie od naszego doświadczenia i wiedzy (uzasadnienie mojej tezy ilustruje chociażby Twój wypadek). Żartobliwie ujmę to tak: "skała nie wiedziała, że ma do czynienia ze specjalistą".*

Uważam, że jest to myśl, która powinna nam towarzyszyć w pracy bezustannie. Nasz zawód jest niebezpieczny i można sobie zrobić krzywdę na każdym etapie szkolenia. Można też zrobić ją również kursantom. Nikt z nas nie chce popełnić dramatycznego błędu i zasłynąć jak śp. Jerzy Hirszowski.

Pewne jest, że dokonujemy ciągłych wyborów. Na przykład takiego - czy szkolić jak najmniejszym nakładem sił i z minimalnym ryzykiem, chodząc przy tym po Żeberkach, Setkach i Mnichu? Czy takiego taternictwa chcemy uczyć? Oczywiście również, bo tego mogą chcieć kursanci, albo nie będzie ich stać na więcej. Ale są też tacy, którzy chcieliby poznać taternictwo "prawdziwe", dotknąć wielkie ściany tatrzańskie i odległe granie. Do jakiego stopnia mamy prawo ich narażać? Dochodzimy w ten sposób do zasadniczego pytania. Na ile możemy ryzykować na kursie? Jasne jest, że nawet podczas szkolenia na doskonale znanych drogach zawsze pozostaje element niewiadomej. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć jak się zachowa kursant. Do tego należy dodać inne zmienne: jakość skały, asekurację, nagłe pogorszenie pogody. Nasze decyzje podejmujemy na bieżąco, ale też w samotności, bo rzadko wymieniamy się informacjami na ten temat. Tradycja środowiskowej szydery kultywowana przez niektórych instruktorów chorujących na przypadłość bycia omnibusami skutecznie odstrasza od dzielenia się doświadczeniami i poważnej dyskusji. Niestety ze szkodą nie tylko dla nas instruktorów, ale także dla bezpieczeństwa kursantów. Ale to już jest zupełnie inny temat. Wracając do meritum nasuwa mi się jeszcze jedno pytanie,

czy my kontrolujemy ryzyko podczas szkolenia? Pewnie na tyle, na ile potrafimy. Śmiem jednak podejrzewać, że indywidualna ocena instruktora poparta jest wyłącznie jego doświadczeniem, ale nie idzie za tym żadna świadoma metodologia. **Myszę, że jest najwyższa pora, żeby opracować narzędzie, które choć w pewnym stopniu będzie wspomagać nas w pracy. W działalności zimowej mamy check-listę, awulator, metodę 3x3, czy redukcyjną.** We wspinaniu skalnym, a już na pewno w szkoleniu letnim nie mamy tego typu pomocy. I radzimy każdy po swojemu.

Kolejna kwestia jest równie ważna jak poprzednia. Uważam, że nie jesteśmy przygotowani do sytuacji, w której instruktor ulega poważnej kontuzji. A mój, choć nie tylko, wypadek dowodzi, że zagrożenie jest realne. W ciągu ostatnich dziesięciu lat instruktorzy spadali z lawinami, z nawisami, spadali drogami wspinaczkowymi, odpadali z powodu obrywów skalnych, z powodu wypadnięcia asekuracji. Te wypadki się dzieją i... przechodzimy po nich do porządku dziennego. Na unifikacji instruktorów taternictwa, którą prowadziłem w Betlejemce, w 2015 roku próbowałem poruszyć ten temat, jednak poza wbiciem numerów ratunkowych do telefonów kursantów oraz jak najwcześniejszym przeprowadzeniem zajęć z autoratownictwa nie padły żadne przełomowe pomysły. Musimy się zmierzyć z pytaniem: jak przygotować siebie i kursantów na "awarię" instruktora? Dla zobrazowania problemu przypominam niektóre przykłady sytuacji, w których wypadkowi uległ instruktor. W kilku z nich kursanci znaleźli się w bardzo złym położeniu i bez ratowników nie byli w stanie samodzielnie wydostać się ze ściany.

1. Instruktor spada z lawiną podczas podejścia do Zmarzłego Stawu.
2. Instruktor wywołuje lawinę na Progu Mnichowym i przelatuje ścianą, kursanci pozostają bez opieki do momentu dotarcia przez ratowników.
3. Instruktor spada na Kotle Kościelcowym podczas szkolenia na drodze Kochańczyka, kursanci pozostają bez opieki do momentu dotarcia przez ratowników.
4. Instruktor spada z lawiną na dojściu do Żółtej Przełęczy, kursanci pozostają bez opieki do momentu dotarcia przez ratowników.
5. Instruktor spada podczas wspinania na drodze 114 ugodzony kamieniem, kursanci pozostają bez opieki do momentu dotarcia przez ratowników.
6. Instruktor spada z wyrwanym przelotem na „Żółtym Szlaku”.
7. Instruktor spada z nawisem na Beskidzie.
8. Instruktor spada z blokiem zjazdowym na Igle Milówki, kursanci pozostają bez opieki do momentu dotarcia przez ratowników.

Mam nadzieję, że niniejszy tekst posłuży jako przyczynek poważnej dyskusji w środowisku instruktorów PZA.

Bogusław Kowalski

Instruktor Alpinizmu PZA